

Małe dziewczynki

– Jest rok pięćdziesiąty któryś (w każdym razie przed `58), trudno powiedzieć, kiedy dokładnie, bo dzieje się to codziennie. Stolarz – specjalista od robienia trumien – wchodzi do sąsiadującego z jego zakładem warsztatu zegarmistrzowskiego. Jest więc za trzy lub może za dwie dwunasta, bo swoją punktualnością dorównywał ponoć kukułce wyskakującej z najciekawszego z naprawianych tu zegarów.

Jeden z nich – wysoki, z ciemnego drewna, z ciężkim, połyskującym wahadłem, szykuje się właśnie z sykiem balonu, z którego uchodzi powietrze, do wybicia pełnej godziny. My, nieco bardziej współcześni, którzyśmy widzieli filmy o Supermanie, możemy sobie wyobrazić, że przenikamy wzrokiem ścianki zegarów (no, dalej, skupmy wzrok, by pokonać barierę czasoprzestrzeni) i widzimy kilkanaście przeskakujących kół zębatach, na moment przed wybicciem.

Musi siedzieć gdzieś tam, na tym małym stołeczku. Jest szczupła, płowowłosa. Jej ręce całe pokryte są piegami, a ona może być jeszcze w mundurku szkolnym z nienaganie białym kołnierzykiem.

Dziewczynka, której tam nie ma, bo kamera zawsze jest przecież niema i przezroczysta, patrzy, jak stolarz nalewa sobie kieliszek spirytusu i wypija.

– Wychylał ten kieliszek spirytusu zupełnie normalnie, jakby to była woda.

Druga dziewczynka, zanim stolarz zdąży wyjść od zegarmistrza, by wracać tam jeszcze kilkadziesiąt razy, a potem zbić mu trumnę, przeskakuje po dwa stopnie i ostrożnie, cicho otwiera drzwi białego pokoju. Mija róże i paprocie, których liście opadają na wijące się gładką spiralą białe stojaki i wielkie, białe łoża, nad którym wisi ona. Nieco starsza od niej, z rudymi włosami, w kolorowym, ludowym stroju. Jej wielkie, wyraziste oczy patrzą, jak dziewczynka zdejmując ostrożnie z białego regału butelkę spirytusu i stawia ją na szafce nocnej matki. Z dołu słychać brzęk kładzionego na blacie widelca, pyknięcie i szum gotującej się wody.

– Kiedy wzięłam go do ust i szybko przetknęłam, żeby prędzej mieć to już za sobą, poczułam straszne pieczenie i pomyślałam, że się uduszę. Chciałam krzyknąć, ale powstrzymała mnie myśl: jeśli umieram, to matka nie zdąży przybiec z kuchni, by mi pomóc, a jeśli jednak przeżyję, to... wołałabym, żeby o tym nie wiedziała.

Kolejny brzęk widelca lub łyżki – pieczenie w przełyku z wolna ustawało, a dziewczynka otarła z policzków łzy i usiadła na małżeńskim łożu rodziców – zadarła głowę, by spojrzeć na tę rudą na obrazie, która do tej pory widziała ją głównie przychodzącą

w środku nocy z misiem w ręku. Z uśmiechem zakręciła butelkę spirytusu (mama mówi: „Paruje znacznie szybciej niż woda”) i odstawiała ją na półkę dokładnie w tym momencie, gdy tamta pierwsza dziewczynka, ta, która nosi nazwisko zegarmistrza, odłożyła po raz trzeci sztuciec na blat.

Syk i dźwięk przypominający wciąganie powietrza przez węża gotującego się do... bim-bom.

Ssssyk... Pocałuj tatusia na ostatnią drogę.

Bim-bom.

Ta, która pamięta ciężkie, ponure megafony obwieszczające narodowi żal narodu za towarzyszem Bolesławem, który w swą ostatnią drogę z ziemi moskiewskiej do polskiej wyruszył z sali pamiętającej ostatnie pożegnanie czerwonego mściciela Feliksa, podśmiewała się z tej drugiej, że czerwieniła się, gdy w telewizji pokazywali jej ulubieńca, ministra profesora Geremka.

Dziewczynki, chociaż spędziły wiele czasu razem, dorastały w zupełnie różnych czasach.

Ta pierwsza, płowowłosa, doprowadzała do płaczu swoją dorosłą siostrę, która z jej powodu chodziła z tym płaczem na skargę do matki, ta druga, również płowowłosa – muszą się nam przecież trochę mylić – miała w zwyczaju wołać, że „zrobi, co chce i kiedy chce” (tupała, rzecz jasna, przy tym nogą), czym wzbudzała śmiech ojca i niepokój matki. Jedna piekła z kuzynką w tajemnicy biskopki i chowała go pod łóżkiem, druga ćwiczyła, gdy nikt nie widział, włożenie na drzewa, by spaść w końcu, ledwie dojść do domu, przeżyć dziwnie okropny ból głowy i wymioty i nie powiedzieć nikomu ani słowa.

Słowa nie padały między nimi zbyt często, choć zdarzały się opowieści. Opowieści zbójcekie, jak ta o kieliszku spirytusu pitym codziennie w południe przez stolarza:

– Picie spirytusu wydało mi się sztuką – zobaczyłam to w jej oczach, gdy o tym mówiła, i usłyszałam w tonie jej głosu – a sztukę trzeba praktykować. Dotrwałam w tej sztuce do czasów liceum, budząc podziw, bo jako jedna z niewielu dziewcząt piłam wódkę bez popitki.

Opowieści – kaczki rzucane na wodę, które po kilkukrotnym odbiciu się, zapadały w odmęty, pozostawiając po sobie okręgi, o k r ę g i, o k r ...

Jedną z nich była opowieść o ostatnim pocałunku.

Syk i dźwięk przypominający wciąganie powietrza przez węża gotującego się do... bim-bom.

Ssssyk...

Bim-bom.

Czy to było przed, czy po? Musiał starym obyczajem leżeć w domu. Był już zapewne sztywny. Dobrze, umówmy się, że jego ciało otaczały już deski zbite przez sąsiada stolara.

– Pocałuj tatusia na ostatnią drogę, córeczko.

Tamten pocałunek przesądził ostatecznie sprawę: druga płowowłosa dziewczynka nigdy nie zobaczyła odłączzonego od respiratora ojca.

– Zostań w samochodzie.

Były też opowieści wycedzone po latach przez dziurki w rzeczywistości. Może te dziurki powstawały, gdy wysoki zegar z ciemnego drewna, z ciężkim, połyskującym wahadłem, zrekonstruowany za pieniądze męża płowowłosej dziewczynki wybijał kolejne godziny? Tak było z opowieścią o zwijaniu się z bólu. Wypadła z innego kontinuum przez szparę między reportażem w wiadomościach o refundacji środków przeciwbólowych w leczeniu paliatywnym a zdjęciami zalanych podłóg z podtopionej podkarpackiej wsi.

– Kiedy raz dziennie podawano mu środki przeciwbólne, na jakieś pół godziny jakby się prostował, a jego twarz się wygładzała. Ale to nie trwało długo.

Wtedy to płowowłosa dziewczynka spojrzała na tę drugą. Wielokrotnie powtarzane słowa o tym, że jak żyć, to tylko do właściwego momentu, nabrały innego odcienia.

W zasadzie całkiem podobnego do szlamu naniesionego przez rzekę.

Przez dziurki w rzeczywistości co kilka lat zjawiały się jakieś strzępy innych czasów, ale nader rzadko. Coraz częstszym gościem za to stawała się cisza. Cisza gotującej się na zupę wody, miauczenia kota i szczekania psa, ta zaciekawiona cisza, która wyrażała się w szeleście stron gazet, i ta irytująca cisza płynąca z ekranu, wyświetlającego sceny z seriali. Między nimi było, wyrastało i z dnia na dzień stawało się większe milczenie pokryte nalotem codziennych spraw. A zegar przestał sssyczeć, już nie przygotowywał się do swego bim-bom. Żadnej z płowowłosych nie chciało się go już codziennie nakręcać. Zresztą jedna z nich była już od dość dawna siwa.

Za siedmioma górami, za siedmioma lasami na wschód od punktu X mieszkała sobie płowowłosa dziewczynka.

Za siedmioma górami, za siedmioma lasami na zachód od punktu X mieszkała sobie płowowłosa dziewczynka.

Choć były niemal zawsze razem, czasem wątpię, czy choć kilka razy w życiu naprawdę się spotkały.

Pewnego razu po jedną z nich przyszła śmierć. Było to już jakiś czas temu. Nie jestem pewna, która z nich umarła. Próbowałam to później ustalić, ale do dziś mam wątpliwości.

Wielkie lustro zajmujące niemal całą ścianę łazienki, a w nim odbicie: siwa, naga, mocno zaokrąglona kobieta przytrzymuje się szafki obok umywalki, by nie upaść. Przy myka oczy. Babcia brzoza.

– Przyszłaś do sklepu z babcią, prawda?

Zapytana dziewczynka poczuła, jak w gardle pojawia się kamień. Zacisnęła pięść.

– Nie! – niemal wrzasnęła, choć wiedziała, że to niegrzecznie. Niegrzecznie?! To babsko było bardziej niż niegrzeczne. – To moja mama! – Odwróciła się zamasyżycie. Dziecko nie było głupie. Dziecko wiedziało, już wiedziało.

Babcia brzoza, wizerunek z głębi dzieciństwa, prosto, przez minione lata, z Pocahontas. Jak to się stało? Włosy – siwe od lat, ale ta postawa, ta twarz? Gdyby nie blizna na wskroś przecinająca brzuch – moja droga na świat, nigdy bym nie uwierzyła, że patrząc w lustro, widzę własną matkę.

Drzwi szafy otwierają się.

– Ona nie żyje.

– Masz rację, geniuszu. Od trzech miesięcy. Nie miałaś czasem wziąć skarpetek? Tylko uważaj, większość jest dziurawa.

*

Zbiegam ze schodów na odrętwiałych stopach, śpieszę się, żeby wpuścić kota.

– Ona nie żyje.

Stawiam miskę z karmą na podłodze.

– Ona nie żyje.

Tam była jej głowa, nad tym materacem. Tam stało łóżko.

*

W końcu zadusiła się ciszą, rozpierającą od środka. Cisza miała kolor brunatny. Może krwi, a może herbaty. Odwracaliśmy ją na bok, wylewaliśmy z niej to, w czym się topiła.

Sądzę, że umarła na rozmowę, która potoczyła ją w dół przepaści. Rozmowę między płowowłosą dziewczynką (numer 1 czy numer 2?) a lekarką z hospicjum. W rozmowie prawie nie uczestniczyła. Myślę, że to wtedy stwierdziła, że to nie ma sensu i że jest trzecia opcja.

– Myślę, że naprawdę powinna pani pozwolić zatrudnić córce kogoś do pomocy. Kogoś, kto będzie po prostu z panią w czasie, gdy córki nie ma w domu.

– Ja też jestem za tym. Czasami, gdy prowadzę lekcję i patrzę w twarz odpowiadającej na moje pytanie osoby, zastanawiam się: „Co ja tu robię? Przecież tam w domu może się dziać wszystko. Co ja tu robię?”.

– No widzi pani. Ktoś tu powinien być, gdyby się pani przewróciła. Tak będzie lepiej dla was obu.

Milczenie. Nieco szklany wzrok wyplwających, żółtych oczu spod siwych włosów. Oczu, które były kiedyś zielone. Włosów, które były niegdyś płowe.

– Jeśli będzie taka konieczność, to oczywiście odwołam wszystkie lekcje i zostanę.

– A z czego będzie pani wtedy żyła?

– To nie jest problem. – Niektórzy ludzie zachowują się, jakby pieniądze parowały, a słowo „oszczędności” było niezrozumiałym archaizmem. – Jeśli będzie taka potrzeba, to nie ma problemu, naprawdę.

Milczenie. I oczy. Oczy kota. Żółte tęczęwki, czarne źrenice.

Teraz w naszym opowiadaniu pojawi się piosenka. Pojawi się na pasach, wciśnięta między jezdnię a ramę roweru. Na początku będzie tylko kilka słów objających się o kości czaszki.

– Śpieszyłam się, bardzo się śpieszyłam. Zostawiłam ją samą i pojechałam do apteki wykupić leki. *Toute la vie sera pareille à ce matin* – mam nadzieję, że nic się nie stanie, to w końcu niedaleko. Tak, trzeba to zrobić wreszcie, bo ja zaczynam się bać wychodzenia z domu... *sera pareille à ce matin* – dlaczego ja znowu to mam w głowie? Owszem, pogoda ładna, istne indiańskie babie lato w grudniu! No, może jednak trochę za chłodno. Trzeba przy okazji kupić coś do jedzenia, póki się kogoś nie załatwi, żeby znów nie musieć jej zostawiać. Zahaczmy o warzywniak... *Toute la vie... lors que l'amour sera mort*. Zdarta płyta... *sera mort(e)*, czy to ze względu na te słowa? Wszyscy będziemy. I jak tu myśleć o świętach? Czy ja mam kupić coś, co się szybko zrobi, czy mam robić święta? Ale niby jak, skoro jest coraz... *On ira...* No, idziemy, idziemy! Coś w tym jest, coś...

Płyty chodnika – pokrzywione, popękane. Cholerny garkotłuk! Puszczą nam tego Dassina co drugą lekcję!

– Nie spodziewałam się, że to pójdzie tak szybko. Kiedy w środę byłam pierwszy raz u państwa, to wyglądało naprawdę dobrze.

Na stole dowód, jeszcze nieprzecięty, i długopis, który prędko pokonywał kolejne rubryki. „18 1) Przyczyna zgonu bezpośrednia – opis słowny wraz z kodem ICD-10”.

Uważam, że umarła na brak właściwego pytania. Prosiła, żeby pytać, o co chcę, dopóki jest czas. Śmiałam się, że zrobimy „potrawnik” – spisemy przepisy na wszystkie jej dania. Powinna spytać, próbowałam, ale ona była taka dumna, nie potrafiła,

nie ze mną, nie z własnym dzieckiem, które należało przecież chronić. Przez lata myślałam, że to już nieprawda, dawno nieprawda, już nie ma matki córki, są dwie dorosłe kobiety. Ale dorośli powinni potrafić ze sobą rozmawiać, powinni... powinny... powinnyśmy... Powinam.

Nie wydaje mi się, by umarła na raka. Na takie rzeczy nie umiera się w naszych lustrzanych światach.

YouTube. Palcem w dół, *Non, Je ne regrette, Millord*, tamten wieczór, gdy puszczałam jej Piaf, palec kręci kółkiem w dół, zębate koła zegara ani drgną, prawy dolny róg – 2:27, Fetting, gdzież to było, a tak, tak... *Nous marchions sur une plage un peu comme celle-ci...* Nie przypominam sobie, byśmy kiedykolwiek były razem na plaży, choć zdjęcia z pewnością to pamiętają. *Une saison qui n'existe que dans le Nord de l'Amérique... Et je me souviens, je me souviens très bien... On ira où tu voudras, quand tu voudras.*

– *Où tu voudras, quand tu voudras!* A więc o to chodziło. Stąd ta piosenka.

Nie potrafiłam wtedy tego wypowiedzieć. Nawet po francusku, nawet podśpiewując bzdurny romans.

Myślę jednak, że ona wiedziała. I poszła. I dlatego poszła. Gdzie chciała i kiedy chciała.